

PIOTR ZYCHOWICZ

Autor Paktu Ribbentrop-Beck i Oblędu '44

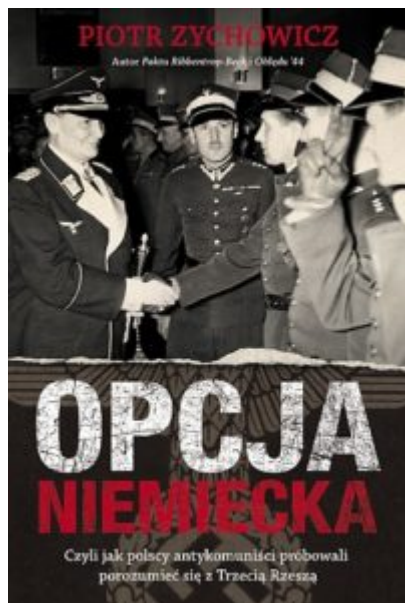


OPCJA NIEMIECKA

Czyli jak polscy antykomuniści próbowali
porozumieć się z Trzecią Rzeszą

Adam Cebula „Zychowicz pisze, czyli czemu my nie czytamy”

Adam Cebula



„Zawrzyjmy sojusz”, powiedziała mrówka do mrówkojada, który wyjadł już pół mrowiska. Adam Cebula pisze o sojuszach - niekoniecznie zwierzęcych.

Dlaczego ludzie nie czytają książek? Po kontakcie z tą konkretną książką naszła mnie bardzo niepokojąca refleksja. Teoria, która poniekąd odwraca kota ogonem co do przyczyn zjawiska, nad którym wszyscy biadają. A jeśli, będąc już przy kocie i dbając o dokładność modelu z użyciem futrzaka, uprzemy się, że to nie takie proste, panie kolego, to trzeba przyznać, że w tym temacie – miernego czytelnictwa – mamy przynajmniej dwa koty.

Jak wypowiedział się pewien, nazwijmy to, zawodowy pisarz (zawodowość w przypadku pisarza to chyba jednak niezbyt znacząca cecha i do tego trudna do wyznaczenia), tacy jak ja amatorzy nie powinni się wypowiadać na temat profesjonalnych pisarzy. Mówiąc krótko, dopuszczam się swego rodzaju bluźnierstwa, zamierzając sformułować swoje refleksje i zdanie o dziele przedstawiciela elit intelektualnych wspaniałego kraju położonego na Wiśle.

Poniekąd i racja, bo mi nawet nie pomarzyć o takim sukcesie wydawniczym, jaki ponoć odniósł autor. Być może po tym „pomarzyć” należałoby wstawić jeszcze jakieś słówko, lecz tu rozżew jest chyba faktycznie tak wielki, że w zasadzie powinniśmy ograniczyć się do onomatopei i pozostania z oczami pełnymi podziwu i otwartą buzią. Tak... jeśli przymierzyć to dzieło do marginalnej, ba, daremnej (gdy weźmiemy kryteria finansowe) roboty jakiś fanów fantastyki, przecież zupełnie charytatywnej działalności.

Niestety, przyznam to szczerze, dość szybko doszedłem do wniosku, że wypowiedzieć się trzeba, choćby dlatego, że jest się już zramolałym nieco przedstawicielem pokolenia, które czytało, i to dużo. Nawet nie posiadając tak zwanego właściwego horyzontu i odpowiednich kwalifikacji, nawet popełniając wręcz świętokradztwo oceny przedstawiciela elit, w zastanych okolicznościach nie dokonam niczego ani nadzwyczaj niezwykłego, ani nawet bulwersującego. Owszem, powiem swoje, powiem z przekonaniem, a i tak pies z kulawą nogą się tym przejmie. A powiedzieć, trzeba, niestety.

Chodzi o głośną książkę Piotra Zychowicza „Opcja niemiecka”. Można powiedzieć, że to literatura

wręcz przeciwna fantastyce, jak najbardziej konkretna i rzeczywista, ale... pasuje choćby z tego powodu, że ci, co czytają pasjami o starych karabinach, pordzewiałych czołgach i wojennych wyczynach herosów, jak najbardziej są bliscy i raketowym szlakom, i wyczynom herosów walczących magią i mieczem. Sensacja i przygoda są nieodłącznymi towarzyszami opowieści o wojnach, także tych jak najbardziej prawdziwych.

O czym jest książka? Wydaje się, że autor na pierwszych stronach starannie i detalicznie to wyjaśnia. Wydaje się, że stawia jasną tezę i będzie się ją starał udowadniać. Ba, próbuje to konsekwentnie robić. Chyba... O tym potem. A teza jest prosta: heroiczna walka Polaków w II wojnie światowej przyniosła im same nieszczęścia. Nieszczęściem była postawa wywodząca się gdzieś z romantyzmu, oparta na ideałach walki za wolność naszą i waszą, obronie szlachetności, czystości ducha, wartości, które czynią bohaterów malowanych na obrazach gdzieś pomiędzy chórami anielskimi unoszącymi się pomiędzy obłokami. Napisał „... należy żałować, że proniemiecki rząd w Polsce nie powstał”.

Zychowicz stara się nam wybić z głowy sens heroicznej walki żołnierzy wrześnieiowych, których ofiara nie tylko poszła na marne, ale jeszcze przysporzyła narodowi tysiącznych cierpień, bo okupant bombardował uchodźców, bo pacyfikował wszelki opór, mordując przy tym ludność cywilną, bo wreszcie nasi żołnierze zginęli w przegranej walce, a przecież mogli się przydać w przyszłości w walce ze Związkiem Radzieckim. Polska powinna zacząć negocjacje z Niemcami, wynegocjować kapitulację na godziwych warunkach. Okrojone państwo pozbawione części zachodnich mogło dalej funkcjonować i walczyć z Rosjanami. U niemieckiego boku. Tak, zamiast walczyć z okupantem, winniśmy się nim sprzymierzyć. Nie robiąc tego, popełniliśmy zasadniczy błąd.

Zychowicz konsekwentnie argumentuje, przytaczając przykład Francji, w której dzięki kapitulacji represje były o niebo mniej przykre, która nawet uratowała prawie wszystkich swoich Żydów. Gdzie na terytorium Vichy mogła długo funkcjonować choćby komórka polskiego wywiadu, działała francuska administracja. Lista profitów z kapitulacji jest długa i przekonująca, lecz najatrakcyjniejsza jest informacja o tym, że Cat Mackiewicz miał naciskać, by w negocjacjach kapitulacyjnych Francji wzięła udział także Polska, i by sobie przy okazji formalnie skapitulowała, doznając przy okazji wszelkich bonusów.

Autor opisuje szereg prób współpracy Polaków z Niemcami. I tu zaczyna się to „chyba”, tyżące się udowadniania swej tezy. Wątpliwość sprowadza się do tego, że opisuje się nam szereg sytuacji gdzie owa współpraca okazywała się korzystna, jak to współdziałanie owo przynosiło obu stronom pokój i korzyści wszelakie... alisci zawsze się kończyło w tragiczny sposób: Niemcy zamknęli, zastrzelili, powiesili, zagazowali, zamęczyli w obozie zagłady.

Problem był w tym, że hitlerowcy nie chcieli współpracować z Polakami. Autor zauważa, że sensowne układy okupowanych z okupantem rozwały centralne władze z Hitlerem na czele. Wspomina o istnieniu czegoś, co znamy z historii jako Generalplan Ost. Cóż, warto przypomnieć: autor jakoś obszedł te informacje, zakładał on (rzeczony plan) pozbycie się 80 do 85% Polaków. Jak wskazuje historia Żydów, chodziło o po prostu wymordowanie ludzi.

Niemcy dość konsekwentnie zwyczajnie wyrzynali polską ludność. Było to planowe niszczenie narodu. Zaczęto od wycinania inteligencji, wymordowania profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, lecz w mniej nagłośnionych akcjach zginęło ponad 60 tysięcy obywateli. Zapomniano o tym, lecz w hierarchii wysmażonej z ideologii rasowej wylądowaliśmy, owszem, wyżej o 300 kcal od rasy przeznaczonej do zagłady. Racja żywnościowa Żyda to było 400 kcal, Polaka 700 kcal, zaś dla normalnego człowieka potrzeba 3200 kcal dziennie. Mieliśmy wymrzeć z głodu i wywołanych nim chorób.

Ciekawa rzecz, że autor, broniąc swej tezy, i owszem, zauważa problem: Hitler nienawidził Polaków.

Opowiada nam, że gdyby nie to ... Lecz skoro mieliśmy do czynienia z tym poniekąd zasadniczym problemem. A jednak tezy bronimy. Bronimy, opowiadając, jak księżę Radziwiłł spotkał się z Göringiem, i jak to ów nadał mu rodzaj listu żelaznego, jak był oburzony terrorem dotyczącym wspaniały polski naród. Lecz też, że nic z tego spotkania nie wynikło. Tak na marginesie: historia wygląda na typową legendę, jakich wiele stworzył sobie lud polski ku pokrzepieniu serc. Mordowani wypatrują wszędzie oznak zmiany, poszukują czegokolwiek, co daje nadzieję. Spotkał się hitlerowiec z księciem? Musiał mu nagadać! Tymczasem efekty były dokładnie zerowe, hitlerowcy kompletnie nie liczyli się z zasadami, autorytetami, czymkolwiek, co nie wiązało się z brutalną militarną siłą. Mamy szereg opowieści o działaniach, które skończyły się niczym. O pustych obietnicach, próbach nawiązania współpracy, czy raczej tylko zawarcia układu z polskim podziemiem.

Problem w tym, że hitlerowcy mieli plan wyrżnięcia Polaków - i to właśnie realizowali. No i jak człek czyta, to sobie myśli, że ci Polacy z czasów wojny durni jednak nie byli, że nie myśleli nawet o współpracy tymi, którzy chcą ich wyciąć do nogi. Zaczynamy podejrzewać, że wstępując do podziemia, walcząc na frontach, nie mieli w głowie wizji rycerskich czynów, tylko robili rzecz właściwą każdej żyjącej istocie: ratowali swoje życie - w tym najbardziej biologicznym wymiarze.

W przypadku książki historycznej włącza się niestety wiedza czytelnika o świecie przedstawionym. Autor fantasy czy SF ma tę przewagę, że może powiedzieć: „A ja wymyśliłem tak, i nie ma dyskusji!”. Niestety, gdy piszemy o rzeczywistości, pojawia się dość zasadnicze pytanie: czy, autorze, piszesz o faktach?

Gdy Zychowicz snuje plany udziału Polaków w Drang nach Osten, zapomina o pewnej, powiedziałbym, dość podstawowej trudności: na przykład w 1939 roku ciężko byłoby oferować Niemcom udział w walce z ZSRR, bo to był sojusznik Hitlera. Nie było żadnych planów pozostawienia jakiegoś kadłubowego państwa nibypolskiego, jak pisze w rozdziale „Polskie państwo Vichy”. Był pakt pomiędzy dwoma mocarstwami o podziale terytorium pomiędzy nie. Jeśli nawet ze śmietnika historii daje się wyciągać skorupy zdające się pasować do tej teorii, są to tak silne dowody, jak te znajdowane w piramidach, że musieli je zbudować kosmici. Podstawowym problemem w paktowaniu z Niemcami, który doskonale rozumiał przedwojenny polski rząd, była wiarołomność Hitlera. Nie zamierzał dotrzymywać umów, których nie musiał, do których dotrzymywania nie zmuszała go brutalna militarna siła.

Trudno nam zapomnieć, czytając wywody autora, że rząd Vichy, który położył, jego zdaniem, ogromne zasługi dla ludności Francji, ta z wdzięczności po wojnie postawiła pod ścianą.

Tylko marszałek Pétain się wywinął, wszelako także z wyrokiem śmierci. I jakoś do dnia dzisiejszego nie ma ludzi, którzy by chcieli głosić o tych zasługach i szczęściach, które miałyby spłynąć na naród Francji za sprawą jej kapitulacji. Przytomny czytelnik będzie wiedział, że zachowanie Niemców było tym łagodniejsze, im bardziej na zachód. Powody były różne. Hitler zwyczajnie bał się Anglii i USA, bał się reakcji własnej ludności na wiadomość o masowych mordach. Była też próżność niemieckich dygnitarzy, którzy na przykład chcieli mieć w kolekcji znajomych arystokratów, a w oczach „towarzystwa” nie można było uchodzić za zwyczajnych morderców. Skutek był taki, że na wschód od Niemiec wybito w niektórych rejonach ponad 90% Żydów, a na terenach zachodnich takiemu samemu odsetkowi udało się przeżyć.

Trudno zapomnieć o fakcie, że w momencie kapitulacji Francja była kolonialną potęgą, że miała marynarkę wojenną czwartą na świecie. Oraz nie musiała, jak Polska, walczyć na dwa fronty. Kapitulacja miała dla Niemców konkretny militarny sens. Kapitulacja Polski dołączona do kapitulacji Francji byłaby tylko operetkowym aktem. Nie było żadnego powodu, by Niemcy mieli z powodu kilku kartek papieru zrezygnować ze swoich planów wyrżnięcia ludności. Chaim Mordechaj Rumkowski, przywódca łódzkiego getta, postawił na współpracę z hitlerowcami i skończył razem ze wszystkimi

Żydami w którymś obozie koncentracyjnym (zapewne w Auschwitz-Birkenau), wywieziony w sierpniu 1944 roku jednym z ostatnich transportów. Tak mu się ta współpraca opłacała.

Gdyby na przykład rząd Polski ogłosił w 1940 roku przystąpienie do koalicji z Niemcami, to owszem, z pewnością miałyby to poważne znaczenie dla polskich żołnierzy usiłujących się przedostać do Anglii po klęsce Francji. Prawdopodobnie fatalnie skończyłoby się to dla Polaków pod okupacją rosyjską. A dla Rumkowskiego raczej wcześniejszym niż późniejszym wywiezieniem do gazu.

Autor niechcący nam podpowiada, co wynikało z praktyki na temat współpracy z hitlerowcami. Opowiada o stosunkowo mało znanej akcji polskie partyzantki, znanej jako powstanie zamojskie. Akcjach skierowanych przeciw realizacji Generalsiedlungsplan (na mocy którego wyrzucano Polaków z ich gospodarstw i przydzielano je niemieckim osadnikom). Rzecz w tym, że – jak sam Zychowicz przyznaje – hitlerowcy zmuszeni przez polską partyzantkę przerwali operację. Praktyka pokazała więc, że postawa ugodowa kończy się zapakowaniem do komory gazowej, a właściwa wobec okupanta była postawa strzelecka. Można podać jeszcze inny przykład: zamach na Kutscherę, po którym, jak dość zgodnie stwierdzają historycy, zakończył się ostentacyjny terror wobec mieszkańców Warszawy.

Sęk w tym, że hitlerowcy byli formacją odrzucającą wszelkie cywilizacyjne normy. Polski rząd, który wedle Zychowicza odrzucił „pokojowe propozycje” Hitlera, doskonale rozumiał, że nie ma mowy o żadnych próbach negocjacji, nie chodziło o żadną autostradę, było to zwyczajne wywoływanie awantury. Oczywiście, że żądania były nie do przyjęcia, a to z tego powodu, że po ich spełnieniu Polska zostałaby potraktowana tak, jak Czechosłowacja po oddaniu III Rzeszy Kraju Sudetów.

Hitleryzm był zjawiskiem tego rodzaju, że cały mniej lub bardziej cywilizowany świat zjednoczył się w akcji zlikwidowania go. Wydawałoby się, że nadzwyczaj egzotyczna koalicja mocarstw kapitalistycznych i ZSSR musi się rozlecieć przy lada okazji, że ministrowie spraw zagranicznych państw Osi bez trudu rozsadażają sojusz, lecz nic takiego nie nastąpiło – choć każde z wielkich mocarstw nie tylko mogło w potencjalnym układzie z Hitlerem bardzo wiele zyskać. Kraje takie jak ZSRR czy Anglia w sojuszu z USA mogły wymusić dotrzymanie traktatów. Zagrożenie wiarygodnością Niemców było dla takich potęg znacznie mniejsze niż dla nieistniejącej Polski. Hitler liczył na układy. Przypuszcza się, że bitwa o Anglię w istocie miała skłonić Churchilla do wycofania się z wojny, że inwazja na Wyspy była nierealna. Wiadomo też, że i dyplomacja, i wywiady państw faszystowskich stawały na głowie, by skusić kogokolwiek układem do współpracy, że wystarczy przypomnieć incydent z Goralenvolk, a z nim wiele innych prób rozegrania etnicznych podziałów. Widać, że zawarcie mniej czy bardziej iluzorycznego i separatystycznego pokoju było możliwe, skoro wykorzystywano każdą okazję do przeciągnięcia choćby niewielkiej społeczności na swoją stronę. Pomimo tego, Wielka Trójka przyjęła bezkompromisową wersję rozwiązania konfliktu, czyli bezwarunkową kapitulację III Rzeszy i jej likwidację.

Postawa Churchilla czy Stalina w stosunku do hitlerowców była jednakowa i całkowicie jasna: wybić do nogi. Pomimo drastycznych różnic ideologicznych i odmiennych interesów Armia Czerwona współpracowała z US Army zarówno podczas dożynania III Rzeszy, jak i wojsk Japonii. Najbardziej odległe ideologicznie od siebie rządy nie miały najmniejszych wątpliwości: po tym, czego doświadczyliśmy, już nigdy więcej żadnego faszyzmu. Każdy, kto się z tą formacją zetknął, dochodził do tego samego wniosku: żadnych negocjacji, strzelać bez ostrzeżenia, byle celnie.

Opcja niemiecka, współpraca Polaków z hitlerowcami, to kategoria świata fantastycznego. Tak się tworzy SF, że ze świata rzeczywistego wyjmujemy kilka realiów i zastępujemy je fantazjami. Jakaś maszyna czasu, jakiś cudowny robot, generalnie coś, czego być nie może, no i mamy niesamowitą opowieść. No więc gdyby hitlerowcy nie byli takimi hitlerowcami... To na przykład miałyby sens walki NZS z partyzantką radziecką. Ponieważ jednak rzeczywistość taka była, jaka była, ZSRR był

sojuszniem Anglii i USA, to konsekwentnie oddziały tegoż NZS powinny walczyć z Amerykanami po wymaszerowaniu z kieleckiego, tryumfalnym przejściu aż do frontu zachodniego i tamże przyłączeniu się do armii aliantów.

No właśnie, dlaczego Cat Mackiewicz, gdy kapitulowała Francja, nie widział potrzeby przyłączenia się do negocjacji drugiego okupanta, czyli ZSRR? Dlaczego autor nie zastanowił się, co byłyby warte traktaty bez Rosjan, którzy zajęli połowę naszego terytorium? Bo chodzi o to, że Ruskich nie lubimy.

Jak musisz, to czytasz, drogi czytelniku, i orientujesz się, że w tej historii nie chodzi o to, co autor pisze, że chodzi. Wywody brzmią niczym stare, opasłe muchy, natrętnie i beznadziejnie, nic nie zgadza się i samo ze sobą, i z tym, co o rzeczywistości wiesz. Jak nie musisz, ciepnałeś książką dawno w kąt, jak musisz, czytasz i zaczynasz sobie zadawać pytanie: drogi autoru, czy żeś naprawdę przemyślał, co chciałeś napisać?

Cokolwiek zaczyna się zgadzać, gdy sami wymyślimy, że szacowny przedstawiciel elit intelektualnych właśnie muci się z pewnym problemem, a nawet dysonansem czy dramatem poznawczym. Dramat polega na tym, że z jednej strony wie, że Ruskie są czerwone, że to zło najgorsze z najgorszych, a tymczasem patrzy i widzi coś innego. Coś, co godzi głęboko w jego uczucia.

Część polskich przedstawicieli elit zajmujących się i polityką, i tłumaczeniem maluczkim, jak świat wygląda, ma poważne sympatie dla ideologii faszystowskiej. Nic niezwykłego, tak jest na całym świecie, że prostackie rozwiązania pociągają nie tylko masy. Niestety, w przywiślańskim kraju z takimi sympatiami jest wyjątkowy kłopot. Przekonaliśmy się na własnej skórze, że najbardziej skutecznej formie faszyzmu, a raczej jego „produktowi”, czyli hitlerowcom, wyszło z ich ideologicznych kombinacji, że Polacy są zbędni, szkodliwi, należy im się jedynie o jakieś 300 kcal więcej od Żydów.

Żydów nie lubimy, musimy kogoś nie lubić, skoro jesteśmy ideologicznie spolaryzowani. Niestety, wychodzi na to, że ci, których chcielibyśmy polubić, najchętniej spakowali by nas razem z Żydami do jednego wagonu i wysłali do tej samej komory gazowej. Co prawda Ruskie są najgorsze, ale to nie oni chcieli fizycznie zniszczyć Polaków.

Mamy problem z faktami. Zamiast forsować tezę o zbawiennym sojuszu z Hitlerem, o wiele mniej kłopotliwe jest przyjąć, że Polacy nie popełnili już po wybuchu II wojny światowej żadnych zasadniczych błędów w polityce międzynarodowej. Zrobili, co musieli, i co było wyborem najmniejszego zła. Np. pomysł przyłączenia się polskiego wojska do wyprawy na ZSRR można przetestować na przykładzie Rumunów. Owszem byli na froncie wschodnim razem z Węgrami i Włochami, i to poprzez ich linie Rosjanie przypuścili pierwsze natarcie zamykające kocioł pod Stalingradem. Rumuńska 3. Armia (cokolwiek ta „armia” tu znaczy) znalazła się w okrążeniu. Polacy walczyli w wielu bezsensownych bitwach, takich jak pod Lenino czy o Monte Cassino, ale zawsze po właściwej stronie, przez co choćby zbijaliśmy kapitał propagandowy na długie lata. Gdybyśmy zgodnie poradą autora wyprawili się na Stalingrad i dostalibyśmy w d..., tracąc z pewnością znaczną liczbę ludzi, to Stalin miałby pretekst, by zamiast peerelu była siedemnasta lub osiemnasta republika radziecka. To zależy, jak liczyć, bo w 1956 roku Karelo-Fińska Socjalistyczna Republika Radziecka została włączona do Rosyjskiej FSRR.

Jest taki stary bardzo kawał o kiepskim aniele stróżu. Biedny wędrowiec idzie ostatkiem sił przez prerię. Zaczyna się modlić: „Aniele stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój...”

--- A jestem, jestem, przecież stoję --- odpowiada aniołek. I wędrowiec, nagle zdumiony, dostrzega małego, łysiego człowieczka ze skrzydełkami.

--- Aniołku ratuj mnie, jestem poraniony chory, głodny, spragniony, niedługo tu umrę.

Anioł patrzy i mówi:

--- Faktycznie, masz prze...

--- No to ratuj mnie!

--- E, ja bym tam nie liczył na pomoc boską, tylko na siebie.

--- Jakże to, aniele?

--- Bo widzisz, ja jestem kiepskim aniołem stróżem i co wymyślę, to kiepsko wychodzi.

--- Postaraj się, przecież już trzeci dzień idę bez wody i jedzenia, zrób coś!

--- Naprawdę chcesz tego? No dobrze.

Znika, po kilku pacierzach pojawia się i mówi:

--- Idź w tym kierunku.

Wędrowiec idzie, za jakiś czas dostrzega ogień. Zatrzymuje się.

--- No i co teraz?

--- Podejdź ostrożnie bliżej i spróbuj się zorientować, kto tam jest.

Wędrowiec dostrzega urwisku górujące nad kotlinką, w której pali się ognisko, wchodzi na nie i wychyla się przez krawędź. Na dole przy ogniu podskakują Indianie.

--- Oni tańczą taniec wojenny... No i co teraz?

--- Zejdź na dół.

Wędrowiec schodzi, Indianie łapią go i przywiązują do pala męczarni.

--- A teraz co? --- pyta przerażony wędrowiec.

Aniołek drapie się w głowę, rozgląda się, odchodzi na chwilę, wraca i mówi:

--- Mam taki pomysł. Wyciągnij rękę, pomacaj za palem, złapałeś? No, to jest tęgi kij. A teraz czekaj, aż podejdzie do ciebie ten kurdupel w pióropuszu.

Osobnik w pióropuszu się zbliża.

--- No i co teraz? --- pyta wędrowiec, gdy facet jest już na wyciągnięcie ręki.

--- Złap kij i walnij go z całej siły w łeb.

Wędrowiec ochotczo spełnia radę, wali wodza, ten wrzeszczy najpierw z bólu, potem ze wściekłości, kopie wędrowca, wymachuje mu przed nosem tomahawkiem.

--- No i co teraz?

--- Teraz? Teraz --- drapie się w głowę bardzo zafrasowany aniołek, i naraz twarz mu się rozjaśnia w tryumfalnym uśmiechu --- teraz to dopiero masz prze...

Po przekroczeniu pewnego poziomu absurdu nie da się dyskutować. Można najwyżej reagować, opowiadając takie anegdoty.

W rozdziale o próbach powołania Polskiej Ligi Antybolszewickiej Zychowicz opisuje, jak to przedstawiciele polskich elit odmawiali współpracy. Poza jednym wszyscy uważali, że nie ma o czym rozmawiać, gdy trwają łapanki i pokazowe egzekucje. W zastanych okolicznościach przyrody, jak pisze sam autor, gromadka kandydatów na kolaborantów „...posłała Niemców na drzewo. I chwala jej za to”.

Czyli sam Zychowicz nie ma wątpliwości, że słuchając jego rad, mielibyśmy dopiero prze...

Czytając o profitach ze współpracy z Niemcami, otwieramy szeroko oczy. Nie trzeba pamiętać o Mordechaju Rumkowskim, wystarczy zadać sobie proste pytanie: jaki jest interes, sprzymierzać się z w własnym wrogiem przeciw swoim sojusznikom, na dodatek wróg ten jest kompletnym przegranym konfliktu? Wyjaśni się, gdy uświadomimy sobie, że autor ma problem z własnymi poglądami. Oras że usiłuje je sobie rozwiązywać sposobem właściwym literaturze fantastycznej. A mianowicie zawieszając na kołkach niewiary niepasujące mu fakty oraz związki przyczynowo skutkowe. Jak na przykład Polska po aktach kolaboracji miała się znaleźć w gronie zwycięzców II wojny światowej? Jaki miał być zysk z walki z Rosjanami? Tak to trochę wygląda, jak logika Wałęsy, tak bardzo za w tej koalicji antyhitlerowskiej, że nawet przeciw...

Ten ostatni zabieg, posługiwanie się bardzo osobliwym sposobem argumentacji, przy którym nasz dzielny były prezydent wydaje się mistrzem spójności, sprawia, że książkę czyta się wyjątkowo źle. Sęk w tym, że fantastyka, fantasy i wszelkie przyległe gatunki wymagają jak rzadko inne sprawności pisarskiej. O ile powieści, nawet historyczne, nie padną na wewnętrznych sprzecznościach, o ile dramat psychologiczny może być swego rodzaju strumieniem podświadomości, gdzie rzeczy i bohaterowie zmieniają swoje cechy, to w literaturze niezbyt poważnej oczekujemy, że powieszona na ścianie strzelba wypali w ostatnim akcie.

Od książki stawiającej karkołomne tezy wymaga się finezyjnej argumentacji. Może być ona i karkołomna, byle czytelnik nie miał nieznośnego wrażenia, że autor sam ma kłopot ze swoimi poglądami. Byle nie miał wrażenia obcowania z intelektualną nieporadnością. Trudno – czytając o pomysłach sojuszu podbitej Polski z Hitlerem przeciw ZSRR – nie pamiętać o tym, że Niemcy jeszcze w latach 20. współpracowali z komunistami w dziedzinach wojskowych, i chyba nie bardzo się z tym kryli. Związki obu narodów były wielowiekowe i nie tylko dynastyczne. Pewnie dlatego Hitler, zawierając pakt Ribbentrop-Mołotow nie miał jeszcze planów inwazji na Rosję. To się wykluczało później, gdy Stalin zaczął stawiać wobec sojusznika niepokojące żądania, m.in. swobody przepływu floty wojennej przez cieśniny oddzielające Bałtyk od Morza Północnego. Autor to historyk, przecież musi o tym wiedzieć, ale jakoś mu to nie przeszkadza.

W książkach historycznych ignorowanie faktów tej wagi nie jest przejawem niekonwencjonalności myślenia ani tym bardziej finezji. To apelowanie do czytelnika, ekhem, mniej wymagającego, który ma z rzeczywistością podobne co autor problemy. Chciałby ten czytelnik jakiegokolwiek wyjaśnienia. Takiego, które nie zmusiłoby go do zmiany sympatii do politycznych nurtów. Wydaje się, że jest jeszcze jedna sprawa do załatwienia. Pewne systemy, które chętnie gloryfikują siłę, nie radzą sobie z sytuacją, w której konieczna jest długa, uporczywa i wymagająca wielu ofiar walka. Nawet teoretyczne podejście do takich dramatycznych wydarzeń wymaga jakiegoś wyparcia, choćby przekonania, że przy odrobinie wysiłku można było jakoś wycwaniaczyć się z walki z okupantem.

Jeśli nie jesteś w takiej potrzebie, jeśli twoje spojrzenie na świat i historię jest zwyczajnie spójne, jeśli uważasz, że zaatakowany nie ma interesu współpracować z wrogiem, i nie masz potrzeby sobie tłumaczyć, że nieprawdą jest, że czasami trzeba stanąć do trudnej walki... ciepnieś pewnie zdenerwowany książką w kąt.

Ciepnieś nią tym bardziej jeśli jesteś przedstawicielem pokolenia wychowanego w peerelu. Tym, które marzyło o upadku komuny, walczyło z nią, dobrze ją zna i pamięta. Ciepnieś nie tylko dlatego, że wiesz, że ów peerel był wynikiem owego fatalnego wyboru mniejszego zła, o którym pisze autor, i do czego to tak usilnie namawia. Trzeba było z kimś współpracować, z którąś ze stron konfliktu. Dokładnie tak, jak chce nam wytłumaczyć Zychowicz. Dla ocalenia narodu, własnych czterech liter, nie dla rycerskich ideałów. Tym bardziej że do współpracy nas zwyczajnie zmuszono.

Zjawisko, jakie reprezentuje nasza wspiana książka, wymaga wszelako wyjaśnienia na gruncie artystycznym, literackim, czy nawet poetyckim lub... psychoterapeutycznym. Jest to bowiem, muszę przyznać, dość szczególne przeżycie, jeśli ktoś zdecyduje się na przebrnięcie znacznej jej części. Poniekąd będziemy mieli zasadniczy problem, jak i o czym dyskutować z autorem.

Jest opowieść o tym, serce nie sługa. Pewien młodzieniec miał do wyboru dwie kandydatki na żonę. Brzydką, biedną i złośliwą oraz ładną, bogatą i łagodną. Znajomi radzili, by nie kierował się emocjami. Długo się zastanawiał, w końcu stwierdził, że serce nie sługa, i ku zdumieniu wszystkich, którzy dawali mu rady, wybrał ładną, bogatą i łagodną. Polacy mieli do wyboru albo hitlerowców, którzy chcieli ich zagłodzić, którzy zaczęli od wyrzynania inteligencji i Polaków pochodzenia żydowskiego, masowych egzekucji, wysiedlania. Z drugiej strony byli komuniści. Wyboru nie było: peerel został nam narzucony, jednak, jak to opisał świętej pamięci Władek Gomułka, każdy pracujący miał chleb, papierosy i wódkę. No właśnie, serce nie sługa. Jakkolwiek wyboru nie było, Polacy zaakceptowali peerel, na ile musieli. Pozwalał on jako tako narodowi się rozwijać – pod hitlerowcami straciliśmy lekką rączką 20% ludności, pod komuną je odzyskaliśmy. Ku zdumieniu niektórych, jakoś żyliśmy w systemie, który zamiast wycinać inteligencję, gonił do szkół, jak wcześniej żaden inny, wprowadził bezpłatną służbę zdrowia, a nie wydzielał po 700 kcal żywności na głowę w nadziei, że rychło gruźlica wybije większość. Niestety, dla większego zamieszania, buntowaliśmy się, nigdy komuny nie uznawaliśmy za swój ustrój, więc pytanie, na ile naród stracił swoją szlachetność, którym to rozważaniem autor rozpoczyna dywagacje o nierozsądnym odrzucaniu opcji niemieckiej, wydaje mocno naciągane.

Pewnie rozsądek autora podpowiadał, by jednak wybierać hitlerowców, ale prze... wojnę i wybito ich do nogi, a nam narzucono okupacyjny rząd, który był o niebo lepszy od okupanta, co autor sam zauważa. Jakoś tak. Serce nie sługa, nie buntowaliśmy się tak bardzo, jak by sobie życzył Zychowicz, przeciw tym, co dawali nam żyć, którzy stworzyli warunki, za jakimi tęsknią niektórzy z tych, co chcieliby uzasadnienia, że opcja niemiecka była lepsza. Aliści – jakby to nie było trudne do ogarnięcia – powinniśmy się wstydzić. Najwyraźniej o to chodzi.

Więc gdy mnie, drogi autorze, namawiasz do opcji niemieckiej, to odpowiem ci jak ów młodzieniec. Jakkolwiek chciałbyś ze mną nie dyskutować, tak twój nieomylny rozsądek dyktuje co innego. Tak, masz rację, lecz serce nie sługa.

Wychowanek peerelu ciepnie książką z tej prostej przyczyny, że za czasów komuny nie zdarzyło się, by wyszło coś tak złego jak polityka nazistów wobec Polski. Dlaczego ludzie nie chcą czytać książek? Otóż opcja niemiecka dała mi pewną odpowiedź: bo nie da się czytać tak złych książek. Rzecz czytelna musi przekroczyć pewien poziom. Moja żona czasem mawia: „To jest literatura”. Albo nie jest. Zapewne dla ludzi o różnym doświadczeniu czytelniczym ten poziom jest gdzie indziej, inne są kryteria, ale jest obszar, gdzie już na pewno i dla każdego rzecz staje się nieprzyswajalna. Uświadomiłem sobie, że mamy czasy, gdzie z racji taniości papieru, druku, łatwości składu nie ma

ryzyka wtopienia wielkiej kasy i można próbować wydawać każdą chałę. Nie pójdzie – wtopi się ledwie kilka tysiaków. To da się przeżyć.

Pojawiają się książki takie jak ta. Są niczym papuga ze skeczu Monty Pythona. Pokazujesz sprzedawcy, że ptaszysko jest zdechłe, sztywne, przybite gwoździem do poprzeczki, na której miało siedzieć, a autor dalej swoje, że o, proszę, papuga się rusza!

(https://pl.wikipedia.org/wiki/Monty_Python#Skecze)

Wdasz się, drogi czytelniku, w dyskusję – zostaniesz potraktowany jak pan Pralina. Zaczyniesz czytać, zostaniesz wciągnięty w odmęty absurdu, zatoniesz w bagnach zrodzonych z nieznajomości faktów, swobodnego traktowania następstw w bloku prawd w stylu „wszyscy wiedzą”, taniej sensacji i – chyba chwyt najbardziej skuteczny – zostaniesz potraktowany jak głupek. Dlaczego ludzie książek nie czytają? Bo cóż można zrobić w takiej sytuacji? Jak dyskutować z kimś, kto choćby sugeruje, że źle zrobiliśmy, nie robiąc sobie krzywdy, że wybraliśmy pannę bogatą i łagodną? Jak odpowiedzieć na kompletny absurd? Ciepnąć książką w ciemny kąt. Ot tyle, na to, by cokolwiek zrobić więcej, szkoda czasu.

Ludzie nie czytają, bo biorąc książkę do ręki, ryzykują, że autor ma plan rodem z dyskusji z głupim w Internecie. Najpierw sprowadzić czytelnika do swojego poziomu, a potem pobić doświadczeniem. To jest kwestia daleka od recenzowania czegoś takiego: jeśli, autorzy, lamentujecie, że was nie czytają, to macie owego drugiego kota w temacie. Z pewnością społeczeństwo zgłupiało. Totalnie spadł poziom wykształcenia. Lecz bynajmniej nie musi to być zasadnicza przyczyna: gdy się człowiek połapie, co się stało z poziomem książek, to musi sobie zadać pytanie, czy jest cokolwiek zdatnego do czytania?

O tym aspekcie upadku czytelnictwa jakoś się nie wspomina. Tymczasem, jak się rozejrzeć po księgarniach, jest po prostu dramat. To, co się narzuca, to że „urwało się nam dno”. O ile kiedyś złe książki nie schodziły poniżej zdawało się już kompletnie dennego poziomu, obecnie nie ma żadnego oporu na dole. Mamy właśnie przekraczanie wszelkich możliwych granic. O ile kiedyś, biorąc do ręki jakieś dzieło, ryzykowałeś, że się znudzisz, że może cię lektura zirytować, może obrazić, to dziś może się skończyć podbiciem oka. W przerośni?

Bez przerośni, człowiek ma po odłożeniu dzieła poczucie straty, coś takiego, jakby mu rąbnęli portfel, oszukali na wadze w sklepie, a już z pewnością wcisnęli za pieniądze i czas zmarnowany na bieganie tropami autora kompletnego bubla. Po tym, jak kupiłeś na giełdzie niejeżdżące auto, będziesz omijał wszelkie okazje. Po tym, jak nadziejesz się na kompletnie sknoconą książkę, zaczniesz omijać księgarnie.

Drogi autorze: jeśli lamentujesz, że cię nie czytają, weź to pod uwagę: uważasz czytelników za głupków, i w takowych celujesz, pisząc. Starasz się ich oszukać, do tego obrażasz ich, pokazujesz – i cóż, że giętki – język, jeszcze wydając nieprzystojne odgłosy. Lecz nade wszystko głowa nie myśli. Taką personę ludzie będą omijać szerokim łukiem. Nawet ci niedouczeni.

Adam Cebula